



MALY PRZEGLAD

PISMO DZIECI I MŁODZIEŻY
WYCHODZI CO PIĄTEK RANO KORESPONDENCJE I MATERJAL

KIEROWAĆ NALEŻY DO REDAKCJI „MAMEGO PRZEGLADU” NOWOLIPKI 7
TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY DO NR. 152 (4595) „NASZEGO PRZEGLADU”

Echo dzwonek żałobnych

Śmierć Marszałka.
Wiadomość o śmierci kochanego Marszałka bardzo mnie rozsmucita. Gdybym był dorosły, to mógłbym zastąpić Pana Marszałka, bo jestem dzielny i bardzo silny. Nie mogę się doczekać tych siedmiu lat by zostać dowódcą pancerzem. Kubus z Groduńska.

SERCE WRÓCIŁO DO MATKI.

Na ulicach cicho. Słychać jęki dzieci, kobiet i mężczyzn. Nad każdą bramą powiewa flaga narodowa, spuszczone do połowy, a na niej czarna krepa.

Każdy przechodzień dzieli się czarną nowiną z innym. Umarł Wódz Narodu. Jest to data, którą każdy powinien pamiętać.

Ciało Marszałka zostało złożone na Wawelu, serce — obok matki, a mózg oddał uczonym. Jak za życia o wszystkich dbał, tak i po śmierci wszystkich oddzielił.

Icek z S-to Krzyskiej. 13.V.

Był dzień 13 maja. Jasny i słoneczny. Poniedziałek. Rano przejrzyłam w myśli plan lekcji i doszłam do wniosku, że należałoby zwagarować. Wszłam na śniadanie, a ojciec rzekł:

— Marszałek umarł.

— Tylko bez kawałów — odpierałam.

Poszłam do szkoły. Po drodze uderzały w oczy czerwono-białe chorągwie, spuszczone do połowy i okryte kirem. Ja jednak jeszcze nie wierzyłam. Przechodząc obok kiosku, zobaczyłam „Gazetę Polską”. Na pierwszej stronie olbrzymie czarne litery przyniosły wieść o śmierci Józefa Piłsudskiego. Musiałam uwierzyć.

Przypomniało mi się słuchowi sko, nadawane dosyć dawno przez Polskie Radio, z którego zapamiętałam to, że śmierć rządzi przy pomocy ogromnego zegara, którego każde uderzenie (a uderza bez przerwy) znamionuje śmierć człowieka. Ten obraz najbardziej przemówił do mojej wyobraźni.

Wyšla godzina Marszałka!

Czas — najgorszy wróg ludzkości zniósł Go. Zmógł Tego, którego trzy mocarstwa zmoc nie mogły.

Pograżona w myślach doszłam do szkoły.

To, o mnie najpierw uderzyło, była cisza, jakaś niezwykła, żałobniejsza — jakiej u nas na pensji nigdy chyba nie było. Zdało mi się, że wchodzę do sanktuarium, którego przeznaczeniem jest uleczanie moich panstoli o

posadzkę.

Spotkałam na schodach przelotną żonę w czarnej sukni. Sprawiała dziwnie przygniatające wrażenie. Potem wzrok mój padł na tablicę pamiątkową uczennic, poległych w czasie wojny. Tak, walczyłyście, pielęgnowałyście rannych, aby umrzeć od zdradzieckiego bagnetu lub jeszcze bardziej zdradzieckiej zarazy. Dziś już nie stało Tego, w którego wierzyłyście. Walczyłyście o to, co człowiek najbardziej ceni i kocha — o wolność. Pochłonęła was jedna matka — ziemia.

Gdy weszłam do klasy, wszystkie koleżanki były zgrupowane dookoła jednego stolika i rozprawały o czymś półgłosem. Z moim wejściem na chwilę zrobiło się cicho, a potem wszystkie rzuciły jedno pytanie:

— Wiesz?

— Wiem — odpierałam.

Cicho zmówiono modlitwę, ale gimnastyki porannej nikt nie śmiał zaczynać, bo gimnastyce musi towarzyszyć humor, a tego nam dziś brakło.

Po chwili weszła wychowawczyni z oznajmieniem, że lekcja dziś nie będzie. Innym razem wiadomość ta wywołałaby szaloną radość (wyrażaną notabene podrzucaniem teczek, kalamarzy etc), tym razem nie zrobiło to wrażenia.

Zebrałyśmy się w sali rekreacyjnej, dokąd wniesiono sztandar, okryty kirem i przełożona odczytała oredzie Pana Prezydenta.

Widziałam u wielu uczniów łzy w oczach.

W ciszy rozeszliśmy się do domów. Gdziekolwiek w szkole rozlegał się szloch.

I był jasny, słoneczny poniedziałek 13 maja. Ale nad horyzontem zaczęły się już gromadzić chmury...

Miasto było takie same, jak zwykle, tylko chorągwie z krepą nadawały mu charakter żałobny.

Gina z Radomia.

JAK MAŁE OPUSZCZONE DZIECI.

Czyż to prawda?

On, którego zna każde dziecko, każdy obywatel polski, cały świat... Rycerz niezłomny, co tyle wycierpiał i tyle wywal-

czył — umarł?

Trzymam Nasz Przegląd. Na pierwszej stronie dobrze znany portret i jedno zdanie. Jakto — nie żyje. Tacy ludzie nie umierają.

Dzwony biły. Echo ich niósło w świat nieszczęsną wiadomość. Umilkło radio. Od czasu do czasu podchodził speaker i tłumiąc łkanie, podawał komunikat. Słuchały strwożone miasta, miasteczka i najdalsze wsie.

Opustoszały ulice. Z masztów zwisały sztandary, okryte czarną krepą. Na rękawach ukazały się czarne przepaski, zakryto tarcze szkolne, znaczki na czapkach i beretach, i tylko z ust do ust szeptem podawano:

— Słyszecie ???

Stali wszyscy, jakgdyby osieroceni, jeden na drugiego nie spojrzeli.

Marszałek Józef Piłsudski... nie żyje...

Ale chyba nikt Go tak nie oplakuje, jak młodzież.

Był naszym Towarzystwem od pierwszego dnia szkoły. Już na progu pierwszego oddziału szkoły powszechnej witała nas życzliwym uśmiechem Jego surowa twarz. Nauczyciel powiedział, że jest to Marszałek Polski, Józef Piłsudski.

I wryły się w pamięć te krzaczaste brwi, siwe wasy, przenikliwe spojrzenie wodza, i prosty, bez odznak, mundur Komendanta.

Wiele z nas, dzieci, marzyło także o czynach bohaterskich i nieraz zapytywało, w jaki sposób Józef Piłsudski został Marszałkiem. Z biegiem czasu dowiedzieliśmy się, że Marszałek mieszka w Belwederze, gdzie mieszkali dawniej władcy rosyjscy.

Kiedy szkoła obchodziła imieniny Wodza, nie jeden z nas deklamował wierszyki o szarym koniku, mestwie, odwadze i poświęceniu. Recytatorowi zdawało się, że w Belwederze Marszałek słyszy jego słowa, dlatego też starał się wypowiedzieć je dobitnie i ładnie.

Chętniej uczęszczałyśmy do pracowni historycznej, gdzieśmy mogli oglądać szereg książek i ilustracji z życia Marszałka. Interesowało nas m. in. także i to, gdzie mieszkał.

Dowiedziałam się, że i Otwock zaszczyił swoją obecnością. W pensjonacie pani Nestorowiczowej spędził Marszałek kilka miesięcy. A później z naszego miasta pojechał do Wilna i tam pewną miejscowość nazwał Otwockiem, widocznie na pamiątkę mi tych chwil, spędzonych w naszym mieście. Przez wiele lat ludność Otwocka szczyliła się tem zdarzeniem. Projektowano wmurowanie tablicy pamiątkowej, lecz niestety, dom, w którym niegdyś mieszkał Marszałek, spłonął. Wzniesiono więc pomnik w parku Miejskim, a w zeszłym roku w dniu imienia Marszałka studjum polonistyczne nazwano Jego imieniem.

I w dniu żałoby narodowej, gdy przed tym pomnikiem rozległy się dźwięki marsza żałobnego Chopina, schyliłmy głowy i płakali, jak małe, opuszczone dzieci.

Szlamek z Otwocka.

WSPOMNIENIE.

Od dnia, w którym dowiedziałam się o śmierci Polski, żyję, jak we śnie. O niczym innym myśleć nie mogę. Przypominam sobie różne drobne okoliczności, w których widziałam Marszałka, ale najmocniej wbija się w mózg obraz z przed lat siedmiu. Obraz ten wypłynął dziś z dziwną wyrazistością i wciąż staje mi przed oczyma:

Było to pod wieczór, w szary, dżdżysty dzień, późną jesienią. Poszłam, jak codzień w Aleje z mamusią.

Aleje były puste. Zapadał zmrok, ale latarnie nie paliły się jeszcze. Siedziałam spokojnie obok mamusi na ławce. Cisza przytłaczała mnie, było mi smutno.

W oddali rozległ się głuchy odgłos kroków. Ktoś nadchodził od strony Belwederu. Zapatrzyłam się w nadchodzącą postać. Była mi dziwnie znajoma. Z założonymi w tył rękami, szedł wolnym krokiem jakiś człowiek.

Tak, to On — to Marszałek. Zabrakło mi tchu.

Tuż za nim, jak cień, szedł adiutant.

Marszałek zbliżał się. Patrzyłam jak urzeczona: zjawiał się tak nagle, tak nieoczekiwanie.

Pierwszy raz w życiu widziałam Józefa Piłsudskiego, a jednak poznałam Go. Poznałam te siwaste wasy i brwi i tę charakterystyczną twarz, widzianą tyle razy na fotografiach.

Wolnym krokiem minął nas, a gdy już był o parę kroków ode mnie, oprzytomniałam i krzyknęłam:

— Mamo, to przecież Marszałek.

Józef Piłsudski odwrócił się, uśmiechnął do mnie, zaszututował i powiedział:

— Tak dziecko, to ja.

I poszedł. A mnie się zdawało, że otrzymałam niespodziany drogi upominek.

Basia W.

W KLASIE.

Szary poranek. Najgorszy poniedziałkowy poranek, kiedy najtrudniej podnieść się z łóżka; rozkoszne reminiscencje niedzielne mocno trzymają na ciepłym posłaniu, a głos obowiązku jest tak słaby.

Nagle słyszę głos siostry:

— Piłsudski umarł.

— Głupi, idyotyczny, niesmaczny żart.

Obojętnie sięgam po gazetę.

— Cooo?

Nie żyje.

Setki pytań, wniosków, myśli chaotycznie powiązanych, zdziwienie, niewiara, przerażenie i ja-

Układ numeru :
str. 1 dla
wszystkich ;
str. 2 — młodzie-
ży starszej (15—17 l.);
str. 3 i 4 — dla czytelników w wieku od 12 lat
stronice 5-ta i 6 — dla dzieci.

kieś uczucie, którego nie da się wyrazić — jakgdyby pustka i straszny sieżar zarazem.

W pulsujących skroniach wybija się coś młotem: zmarł ten, który był... Dla jednych ukochanym Komendantem, zwycięskim Wodzem, dla innych — mądrym Naczelnikiem, Rządcą, a dla nas, szarych ludzi uosobieniem woli, poświęcenia i pracy.

Widziałam go tylko raz w życiu na oczy. A jednak uczucie straszliwej krzywdy doznanej wzmagą się.

— Obowiązek...

Tak, obowiązek do szkoły.

Bezmyślnym, zautomatyzowanym w ciągu lat szkolnego bytowania ruchem, prawie że podświadomie sięgam po teczkę.

Na ulicy pozornie nic się nie zmieniło. Tylko co chwila mijają mnie ktoś, wpatrzony w czarną płachtę gazety, i tylko co chwila migają czarna opaska.

I tylko ktoś ukradkiem łzę ociera. Kolega. Taki zwykły, rzadko zresztą spotykany kolega, dążący do szkoły w przeciwną, niż ja, stronę.

Uścisk dłoni.

— Nie żyje...

— Tak.

Rozchodzimy się.

Lękam się. Lękam się szkoły. Obawiam się, by nie przemieniono tam olbrzymiego nieszczęścia na drobną monetę oznak powierzchownych, kiwania głowami, udawania i przemówień dydaktycznych.

Szkoła przybrała wygląd niezwykły. Nie słychać gwaru. Panuje cisza. I tylko grupki uczniów gwarzą półgłosem.

Smutek — sjonista — lewy, — wszyscy bez wyjątku, niezależnie od przekonań politycznych, czują: On nie żyje.

Wielu ma czerwone oczy, kilku łka jeszcze.

Zamiast porannej modlitwy, odczytanie oredzia pana Prezydenta.

Krótkie przemówienie nauczyciela. Nie trzeba słów. Minuta ciszy. Opaski żałobne.

Lekcja największego bałaganu — matematyka. Teraz pamięć śmiertelna cisza. Stary nauczyciel płacze. Przeszła. Z trudnością wydobywa słowa. Wykłada. Ktoś tracił pióro. Spada na podłogę. Rozlega się syk: sz... sz... cicho!

Wydaje się to wszystko snem upiornym. Obudzę się, ocknę za chwilę. Niestety.

Z ust do ust podają wiadomości. Ostatnie Jego chwile, choroba, śmierć, pogrzeb. Hold jego pamięci.

A nad wszystkim ciężar jakiś straszliwy.

Lucyk Ch.

MATCE...

„Tak — myślę z goryczą — zmieniam się. Cóż ty wiesz o mnie, matko? Masz tylko wspomnienie o sentymentalnym, cichym chłopcu z dawnych lat. Nic, nigdy nie powinnaś domyślać, jak tam było naprawdę”... „Ty, która już rumienisz się i drżysz ze wstydu na dźwięk jednego ordynarnego słowa dlatego, że ono przesłania ci twoje wyobrażenie o mnie”.

Remarque, „Droga powrotna”.

Pamiętam, Mammo, jak jadąc kiedyś autobusem, rozmawialiśmy o możliwości wypowiedzenia przez syna czy córkę swoich przeżyć, wątpliwości i smutku rodzicom. Twierdziłem, że obie strony nie rozumieją się. Mówisz, że się mylą. — Masz garść wspomnień...

SZKOLNY MUNDUREK.

Ile to zawsze scen się działo spowodu zwyczajnego, symetrycznie skrojonego kawałka granatowego sukna, wspaniale okraszonego niebieskimi wypustkami i srebrnymi guzami. Niecierpię szkolnego mundurka, a razem ze mną nie cierpią go całe masy moich kolegów i koleżanek.

Zawsze twierdziłaś, że nie lubię munduru, bo chcę, aby uważano mnie za starszego — że chcę podobać się dziewczętom. Nieprawda. Zrozum, że mundur — to zakaz — a zakaz, to coś dla mnie nieznośnego — duszącego. Dlaczego ja, tylko z racji swoich szesnastu lat, podlegać mam specjalnym ograniczeniom.

Nie wolno nam, uczniowskim mąsom, oglądać wielu artystycznie wyprodukowanych filmów. Gorszymy się podobno. Przyjdźcie, nasze Kochane Belfry, nasze rodzicielskie opiekę, stądka logicznie myślących pseudopedagogów na koleżeńskie zebranie, wieczorek. Zobaczycie naszą niewinność. Usłyszycie opowiadania, traktujące o tajemnicach miłości — a usłyszycie je, opowiadane naszą obrazową gwarą. Niewinne owieczki. Oby się nie zgorzyszy obnażoną girsą na zeroekranowym czworokątnej płótna.

Moralność — wielkich moralistów — psia krew!

A wiecie, panowie, że zakazany owoc nęci i dziwicie się, jak przypadkiem któryś z was ujrzy uczniaka na niedozwolonym filmie.

Glupia metoda — pedagogowie — symbolizuje ją mundur. Prowincja: mundur. Po 7-mej wieczorem w jednym, po 8-iej czy 9-iej w innych miejscowościach uczniom nie wolno chodzić po ulicach.

Bo to, panie dzieju, zepsucie moralności i ranka przypadkiem z dziewczynką, to i Boska obraza. A wy, „czyszcici”, moralni wychowawcy, co robicie? Gdzie od czasu do czasu spędzacie wieczory? Kto wam dał prawo władzy nad nami?

Dlaczego sklepikarz, konduktor, policjant inaczej odnoszą się do mnie, ubranego w mundur, a inaczej do „cywila”. Uczeń, to członek odrębnej, upośledzonej kasty społecznej. Jego zewnętrzna oznaka jest mundur. I dziwisz się, Mammo, że ja tak nie lubię munduru. Spróbuj przez chwilę rozumować i czuć tak, jak ja i jak masy moich kolegów. Odczujesz wstępną do munduru. Wojskowy, policyjny, organizacyjny mundur nie ogranicza, odwrotnie, rozszerza możliwości człowieka. Uczniowski — jest wstępną i czasem poprostu niemożliwy do włożenia.

A ty, Mammo, zaczynasz o tem tak mówić: „że chłopiec w moim wieku, „nie należy się wstydzic munduru...” uczę gimnazjum powinien”... i t. p. To jest banał, Mammo, banałami mnie nie przekonasz, bo nie można przekonać buntującego się młodego chłopaka nudnym, fałszywym powtarzaniem wyświechtanych moralatów.

BÓG.

Mam, gorzej — muszę wykonywać praktyki, chcę, czy nie chcę, mogę, czy nie mogę — muszę... Bo jestem

uczniem, bo inaczej nigdy nie zobaczę matury.

Walczę, walczę o swoje prawa, o uznanie mojej wolnej, nieprzymuszonej woli, a w braku możliwości zastosowania etycznego środka walki, okłamuję przełożonych. Tak, to jest złe, ale wcale nie gorzej, niż stosowanie przemocy.

A ty, Mammo twierdzisz, że człowiek nie powinien kłamać. A mówiąc prawdę, wylecę ze szkoły. To staraj się nie omijać zakazów. A jak zakazy gwałcą moją wolę? Widzisz — trudno rozstrzygnąć. Muszę kłamać i będę kłamał do tej chwili, kiedy znikną śmieszne, niemoralne nakazy.

A Bóg?... O, w tego wierzę, Mammo, bardzo mocno, całą mocą uczucia wierzę...

A wiesz, że miałem takie chwile, kiedy Bóg stawał się dla mnie albo fikcją, albo nieskończonym złem i wtedy tak mi było żal, że niczem mnie nie wesprzesz...

Trudno zresztą... Minie...

SKŁADKI I FINANSE.

Zdziwił się tym tytułem, Mammo. A przecież tak wiele sprzeczek, nieporozumień i kłótni wyrastało właśnie na tem czysto finansowym podłożu.

Pamiętasz zapewne tę kłótnię o 4.50 gr. na Towarzystwo Popierania Budowy publicznych szkół powszechnych. Przepraszam Cię, Mammo, za ówczesne uniesienie, ale naprawdę trudno znieść podejrzenie powtórnego brania pieniędzy na ten cel.

Tembardziej, Mammo, że sama wiesz, tak dobrze, jak i ja, że zawsze biorąc pieniądze zaznaczam, na co je biorę. A że nie pamiętasz, to jeszcze nie upoważnia do takiego podejrzenia. Co ja jestem winien, że składkę jest tak dużo? Czemu zawsze wszystko zaczyna się i kończy na mnie?

Smutno jest, Mammo, że gdy tylko biorę pieniądze, muszę czuć się, jak w sądzie.

ZYCIE SEKSUALNE.

Kiedyś, dwa, może trzy lata temu przestrzegaliś mnie przed onanizmem. Szliśmy wtedy Nowym Światem do szewca. Przestrasiłaś mnie. Ale to nie pomagało. I widzisz, Mammo — nie zwarjowałem.

Traktujesz mnie często jeszcze, jak dwunastoletniego smarkacza. Mówisz, że to można, a tamto nie. Czasem chowasz przedemną numery „Wiadomości Literackich”, bo jest w nich dużo brutalnej erotyki.

Zapominasz tylko wtedy, Mammo, że ta erotyka, tylko stokroć brudniejsza, podlejsza, leje się w uszy, bije w oczy na ulicy, w szkole, w gazet. Nie wiesz nawet, że często na zebraniach omawiamy szczegółowo właśnie te artykuły z „Wiadomości Literackich”, które tak skrzętnie przede mną chowałaś.

Odpowiesz mi na to, że dla matki dziecko zawsze pozostanie małym bakiem, nawet, gdy będzie już miało lat 30 — 40. Lecz ja niczego nie żądam. Ja tylko Cię uswiadamię. Bo potem może przyjąć to okrutne rozczarowanie.

Ukrywasz przede mną jakiś zbyt naturalistycznie przedstawiony opis gwałtu — ale zapominasz, że nie jestem jasnowłosem dzieckiem, rozkosznie kopiącym piłkę footballową w parku. Zresztą duża część mego pokolenia — pokolenia międzywojennego — jest zbyt rozwinięta fizjologicznie. O tem Mammo, nie wiesz, a jeśli się domyślasz, to nie dajesz tego po sobie poznać. Uważasz mnie, Mammo, za nieznanego życia. Zbyteczną pobłażliwość. Znam je za dobrze — bo często z najbrudniejszej strony.

Jesienią, wracając do domu, jeszcze pełny jakiejś dziwnej mocy, pomyślałem, Mammo, o Tobie. Rozesmiałem się, a wiesz dlaczego? Bo przecież Ty przywiłaś mnie powiedzeniem:

— Tak późno do domu wracać nie należy.

Zupełnie, jakbym zbyt długo grał w siatkówkę. A ja Mammo... Zakuję, że zbyt młodo to wszystko poznałem.

Wiedz, że myśły fizjologiczne i umysłowe o lata wiek nasz przescięgnęli. Nie będę się z Tobą sprzeczał, czy to jest zdrowe, czy szkodliwe. Jedno Ci tylko powiem — złą metodą stosujesz, uważając mnie za smarkacza.

MIŁOSC — PRZEŻYCIA.

Prawda, Mammo, że często się kochalem. Krzywo się na to patrzysz. Przypominasz sobie wtedy wujka Jaszę, czy Wowę, którego mało nie zmarnowały dziewczęta. Sceptycznie odnosisz się do moich przeżyć. Nazywasz je wesoło „Katzenjammer und Weltschmerz”. Mammo, moje przeżycia nie są tak drobne, tak nikłe, jak się Tobie wydaje.

Wkładam w nie całego siebie. A Ty się potem dziwisz, Ty się potem śmiesz. To jest, Mammo, bardzo bolesne. Szczerze Ci powiem, że ja bardzo potrzebuję niekiedy ciepła. Bo nie wystarczy mi tylko dyskusja na temat Orzeszkowej, Prusa czy Balzaca. Widzisz, są chwile, kiedy pragnę jednego dobrego słowa. Słowo to nie zjawia się. Odwrotnie, dowiaduję się, że niszczę nowe ubranie, spóźniam się do domu, jestem arogant i t. p.

Dziwisz się potem, że staję się zły, opryskliwy. Kopnięty pies też nie jest lepszy. Często nie masz czasu mnie wysłuchać. Może nie chcesz. Może uważasz, Mammo, moje cierpienia za bla hostkę. Ale przypominaj sobie, co było po zerwaniu z Izą. Nie wiem, czy znoślibyś to tak łatwo, gdyby nie godzinka rozmowy z Tobą. Ale to było raz. Potem już nie mówiłaś ze mną o życiu prywatnym.

Ja wiem — absorbuje Cię praca, posady, rewizje ksiąg. Nie masz czasu na „Weltschmerz”. Często jednak chciałbym z Tobą porozmawiać serdecznie, po przyjacielsku. Niema okazji. Był niedawno okres czasu, podczas którego nie mogłem wytrzymać w domu. Zbrzydła mi atmosfera ciągłej kłótni, ciągłego przypominania o nieodrobionych lekcjach i mojej nieobowiązkowości.

I znów wystarczyłoby wtedy tylko jedno słowo, chęć szczerzego porozmawiania. Nic z tego.

Znika potem taka atmosfera i niby znikają uprzedzenia, ale zawsze zostaje trochę nieufności i żalu, jak cienka warstewka nikotyny, zatrująca organizm człowieka.

NAUKA.

Skończyłaś, Mammo, gimnazjum ze złotym medalem. Kochasz naukę. To też dziwisz się i złościsz moją niechęcią do lekcji, do szkoły. Wyjaśnię Ci to:

Od wstępnej klasy nauk dawano mi w charakterze dawki przymusu. Nie uczyłem się wtedy, kiedy miałem ochotę, ale wtedy, kiedy chęć objawiała wychowawczyni na stacji. Od piątej do dziewiątej. Rok — za rokiem. Pięć lat. Wiosna, jesień, zima. Umiałem, czy nie. Zrobiłem lekcję, czy nie — rok za rokiem, od piątej do dziewiątej musiałem siedzieć nad otwartą książką.

Zbrzydła mi taka nauka. Zaczynałem się uczyć po „lebkach”. Żeby zżyć. Żeby przedrzeć się spod książki od historii wyciągnąć Wallace’a, Leblanca, czy Larouxa. Rok rocznie słyszałem przed wakacjami płomiennie mowy dyrektora, stawiające cele, konieczność i pożyteczność nauki. Tęga pani B—owa, o byle co wymyślająca i ciągle naganiająca do książek oraz jej wściekle modlący się mąż, w przerwach urągający na Żydów i sanację — byli dla mnie uosobieniem nauki.

Obrzydzało mi ją do tego stopnia, że wołałem godzinami bezymslnie powtarzać: der Herr — pan, der Herr — pan i jeszcze raz der Herr — pan, niż poważnie się czemś zając. Szczególnie nienawidziłem matematyki, do której

Odpowiedź siostrze i braciom z organizacji

Dlaczego wystąpiłam z gniazda?

— Trzy lata, to aż nadto. Mogłoby wreszcie zbrzydnąć — twierdzili jedni.

— Zabrakło już osób do kłótni — dowcipkowali drudzy.

— Przemęczona, znużona, brak towarzystwa, goni wciąż za nowymi wrazeniami — pada raz poraż urągania, jak tynek z sufitu w lokalu.

— A może zmieniła poglądy? — próbował ktoś zażartować.

Nie, moi drodzy. Kroczyć nadal, aczkolwiek bardzo wolno, drogą ogólnego sjonizmu, gdyż jest ona moim zdaniem najbardziej racjonalną z pośród całego labiryntu ścieżek, wiodących do wrót Pałacyzny. Postaram się jednak przytoczyć powody, które skłoniły mnie do przewrotu w zapatrywaniach na powyższą kwestję. Zaczniemy od sedna sprawy.

W jakim celu ludzie zapisują się właściwie do organizacji? Primo: dla korzyści osobistych, secundo: dla przyjemności, tertio: dla ideału.

Korzyści osobistych dla siebie w organizacji nie widzę. Do Erec za pośrednictwem hachszary nie znajduję potrzeby wyjeżdzać. Mam na to łatwiejszy sposób. Jestem pewna, że teraz uśmiechniecie się z politowaniem, pozwólcie jednak przypomnieć sobie, że w tej chwili mówię o korzyściach osobistych, a nie o ideałach. Zresztą, nie uznaję hachszary w jej obecnej, golusowej postaci. Ideologię kibuców są zbyt sprzeczne i oddalone od tych, jakiby miały być naprawdę. Jednakże i w ten pogląd nie chcę się dalej zagłębiać. Może mnie zawieść zadanie, zbyt oddalić od właściwego tematu.

Więc jakie jeszcze pozostają korzyści? Nabywanie wiadomości sjonistycznych, karmienie się strawą skautingu? Wpajanie nienawiści frakcyjnych, zaślepienia partyjnego? To także zbyteczne. Wszelkie wiadomości z zakresu wiedzy organizacyjnej zdobyłam w większej mierze sama — dzięki książkom. Pewnie, że bodźcem ku temu była organizacja, bo w przeciwnym razie nie zajmowałaby mnie podobna lektura.

Nie twierdzę także bynajmniej, że organizacja nie mi nie dała. To byłoby niesprawiedliwością. Wyniosłam stamtąd niemal wszystkie korzyści tak intelektualnych, jak duchowych i moralnych, o czym z wyżej już wspomnianych powodów nie będę się również rozpisywać. Pamiętajcie również, że organizacji nie utożsamiającą zapędzała mnie i kolegów — opiekunka.

Szkolna nauka stała się dla mnie tylko i wyłącznie wstępnym gwałtem. Pozbywałem się też jej, jak mogłem.

To się jeszcze zostało. Walczę z tem. I wiedz, Mammo, że ze skutkiem. Ale chyba nigdy nie będę się uczył z chęcią, z wewnętrzną satysfakcją.

Kończę już. Nad papierem unosi się szary dymek z papierosa. Tak, Mammo, pałę. Przepraszam Cię i za to. Przecie Ci obiecałem, że już przestanę. Jakoś nie mogę.

Bardzo przepraszam. Razem z dymem, gdzieś w górę ulatują moje marzenia.

Myślę o czemś dobrym. Coś dawno minionego, dni szczęśliwe, dni krótkiego dzieciństwa płaczą się między marzeniami. Gra radjo. Jest jakiś dziwny chaos. Wszędzie, w myślach, w marzeniach.

Mammo, jak bardzobym chciał, żebyś mnie zrozumiała. O nic innego nie proszę, Mamusi. Uważnie przeczytaj ten artykuł — w nim jestem ja.

mian z ludźmi w organizacji.

Przyszedłam do was z zupełnie innego środowiska. Nie znałam warstwy, zepchniętej na bodaj najniższy szczebel hierarchii społecznej, nie stykałam się nigdy z podobnymi ludźmi. I może dlatego ich nie lubiłam. W organizacji stałam się demokratką. Mogę przyznać z dumą, że potrafiłam sobie zaskarbić względy najniższego elementu w gnieździe, lecz niestety, tej t. zw. naszej „inteligencji” dotąd jeszcze nie mogę zrozumieć. Waszym perfidnym zachowaniem odstręcaniem tylko ludzi od pracy. Waszym brakiem wnikliwości zniechęcając najbardziej czynne jednostki. Waszą zarozumiałością szkodzącie tylko gniazdu. Nie umiecie wprowadzić nic nowego do monotonnego trybu życia, nie umiecie wciągać ludzi do pracy.

Jeśli ktoś chce się wybić — czyni to sam. Może powiecie, że tak być powinno, że to wyrabia samodzielną. Lecz są przecież jednostki mniej lub więcej inteligentne, mogące coś uczynić dla gniazda, którym brak tej energii na podstawie pierwszego kroku. (Nie mówię tu o sobie). Prawda teraz to się nieco zmieniło. Ale czy za sprawą hanhagi? Śmiem mocno wątpić. O ile mi jest wiadomym, przyłożyła tu palec jedna z menealog.

Co do mnie, to zrazam się podobnym traktowaniem rzeczy. Irytuje mnie również wasza małostkowość i jednostronność. Zarzucacie np. noszenie wysokich obcasów lub torebki. Zaręczam wam, że szornowość, leżąca w obcasach lub w torebce, jest równa conajmniej waszym bezsensownym przyzwyczajeniom. Walory i—eowe przechowuje zazwyczaj w sercu. W torebce zaś — inne, mniej wartościowe przedmioty.

Wierzcie mi — trochę krytycyzmu i samokrytycyzmu nie zaszkodzi. Możecie jednak zapytać, dlaczego nie dysputuję z wami na ten temat w organizacji, dlaczego odsłaniam bolesną ranę przed oczami osób postronnych. Tu muszę dać odpowiedź, opartą na doświadczeniach, nabytych w obcowaniu z wami. Niestety, doszłam do wniosku, że byłoby to „groch o ścianę”. Natomiast umieszczenie artykułu tego w gazecie ściennie wywołałoby zbyt energiczne ruchy ołówka „cenzury”.

Co do dwu ostatnich pytań w sprawie wpajania szowinizmu, odpowiem prosto z mostu: Czuję do tego wstępną. Kto mnie namówił? Obrażona ambicja każe zżyć to pytanie milczeniem. Powyższy pogląd jest tajemniczą długiej analizy. Jeśli nie wierzycie — to trudno. Rzeczowych dowodów na potwierdzenie swej słuszności nie znajduję.

Więc jeśli nie korzystyć, to przyjemność? Wybaczcie tym razem zarozumiałość, ale na tyle pustą nie jestem. Mam nadzieję, że nie posadzacie mnie również o tak wielką głupotę, by nie znać lepszych, radykalniejszych źródeł zabawy...

Pozostaje więc jeszcze dał. Każdy człowiek o najbardziej altruistycznych poglądach, posiadając w sobie pewną dozę egoizmu. Nie jesteście jej pozawieni wy, pozujący na męczenników w walce o „świętą ideę”. Każdy z was pracuje z wyrachowaniem. Jeden dla wysokiego urzędu, drugi dla pozyskania szacunku, trzeci dla łatwiejszego wyjazdu na hachszary, czwarty — z braku innego zajęcia.

(Dokończenie na str. następnej).

SALEK z 5-to Jerkskiej

Wycieczki górskie

II. OBOZ I OKOLICE.

Po dłuższym namyśle postanowił kierownik, pan prof. Jarzabek, założyć oboz w Mszanie Dolnej. Jest to miasteczko w okolicy Raby, o 3000 mieszkańców, położone nad przepływającą obok Mszanką.

Okolice naprawdę godne zwiedzenia. Z jednej strony wznoszą się dzikie Gorce, nad którymi góruje Turbacz, otoczony pasmem lasów, z drugiej Beskid Limanowski - Sadecki.

Oczom turysty przedstawiają się Gorce jako morze hal, wierzchołów, rozłok i lasów. Całe grzbie ty górskie pokryte są polanami, a z boków biegną ku nizinom i rzekom liczne zebrania. Gorce, aczkolwiek mało znane, stanowią jedną z najpiękniejszych i najbardziej godnych widzenia okolic Polski. Jest to olbrzymi paś skowyż, posiadający swoisty powab. Wielka obfitość hal i polan, przepiękne bory, dają niezwykłą i rzadko widzianą panoramę.

Stanowiący na jakimś z promieni Turbacza, jak na dłoni spostrzec można całe Tatry. Domiedawna jeszcze były Gorce dzie wiczą puszcza, w której hasał dziki zwierz. Dziś gruba zwierzyna należy już do osobliwości, a lasy bezlitośnie trzebi człowiek, tak, iż niekiedy całe zbocza przeświecają golizną. Mimo to krajozobraz Gorców pozostał jeszcze przepiękny.

Beskid Wyspowy da się po dzielić na dwie części: Sadecką i Limanowską. Pierwszą cechuje łagodna falistość i szczyty ludzko przypominające garby łażzańskie. Grzbiety są usiane halami i lasami, z których ostatnie w znacznym stopniu przeredzo no. Charakterystycznymi dla Bes kidu Sadeckiego są wielkie lasy

bukowe i iglaste, będące prawdziwą ozdobą tych gór.

Wyjątkowo pięknie przedstawiają się też dwie wielkie doliny przełomowe Popradu i Dunajca, w okolicach których znajduje się wielka ilość źródeł mineralnych.

Obszar, położony między wiającą się doliną Dunajca a Skawą, zwieemy Beskidem Limanowskim. Szerokość jego przecina, zbudowana po wielu wysiłkach lukowa linja Nowy Sącz - Sucha. Góry Limanowa są w znacznej większości odosobnionymi kopicami, nie tworzą ni pasem, ni też fałistej linii grzbietów, stanowią charakterystyczną grupę „wyspowych“. Lasy, podobnie jak w całym Beskidzie Zachodnim, są przetrzebione, zaś pola u prawne rozciągają się wysoko po zboczach.

Zalednienie jest stosunkowo dosyć znaczne; w dolinkach gęsto rozsiane są wieś i miasteczka. Głęboka gleba wydaje jednak bardzo marnie plony i nie wynagradza włożonych w nią wysiłków.

Wycieczki z Mszany Dolnej w okolice i pobliskie góry są bardzo ułatwione. A obiektów zwiedzania bynajmniej nie brak. Na pierwszy plan wysuwają się Gorce z swym królem Turbaczem.

Oto, jak maluje W. Orkan, wy chowanek tych gór, Turbacza w „Roztokach“:

„Naprzeciw Tatr, między kotli ną nowotarską a węzową doliną Raby wspięło się gniazdo dzikich Gorców. Samotnie stoją nad wzgórzami. A wyżej jeszcze nosi głowę ojciec rodu ich, zasę piony Turbacz. Niewiadomo, kto go tak chrzczył i skąd mu to miano. Może stąd, że turbanem

mgły przed deszczem owija tysią głowę, albo raczej, że widywa no go zawsze w turbacji wiecz nej. Podle się z nim losy zaobe szły, dając mu zwykłą dumę wie chów i nadszczytów, a nie dając mu wielkości nadchmurnej. Oto czyły go jeszcze tłumem bliźniąt, wśród których maleje i zdaje się być zwykłą górą“.

Turbacz jest najwyższem wnie sieniem i zarazem osią całych Gorców. Od niego, jak od środka koła, biegną promienie, nad któ remi króluje. Te kilkanaście ramion wraz z Turbaczem tworzy Gorce. Z szczytu jest widziana olbrzymia połać ziemi i kilkana ście pobliskich gór.

Bydąc już na Turbaczu, łatwo można zahaczyć o Nowy Targ. Jet to jakoby stolica Podhala. Li czy 8000 mieszkańców, posiada przytem gimnazjum, sąd, towarzystwa oświatowe i humanitarne. Wspaniałemu widokowi na Tatry, dosyć znacznej ilości la sów, kąpielom w potoku i Czar nym Dunajcu zawdzięcza Nowy Targ swój rozkwit. Dzięki tymże walorom ściąga także dosyć lic zne rzesze wycieczkowców, przy bywające nawet z odleglejszych okolic.

Dosyć ciekawym obiektem do zwiedzania jest także Limanowa, której nazwę przyjęły położone w pobliżu góry. Największą jej o sobliwością jest wspaniały ko ściół z miejscowego piaskowca, w stylu gotycko - staropolskim. Od roku 1914 stało się Limanowo miejscowością historyczną, bo wiem stoczono tu bitwę z rosjana mi, zakończoną pogromem ostat nich. Na pamiątkę tego zwycię stwa wzniesiono na wzgórzu Jab łonickim wysoki i ładny obelisk.

Odpowiedź siostrzom i braciom z organizacji

(DOKONCZENIE).

Przypuśćmy jednak, że chcia łabym zostać stuprocentową ide alistką, że chciaabym się poświę cić całkowicie ruchowi. Cóż wte dy?

W bezsilnej rozpaczyc zacisnąc zęby i wstrzymać potok słów, cisnący się gwałtem na usta? Nie zwracać uwagi na wasze obelgi i wszystkie swe siły skierować ku pracy nad warstwą najmłod szych? Poświęcenia, wciąż po święcenia... I co z tego? Organi zować może przedstawienia, by zarzucano mi chęć pochwalenia się talentami; redagować gazetkę, by mieć jedynie okazję do smar wania wierszy i karykatur, lub może prowadzić kwucę, by rywa lizować z kimś, bezwzględnie bar dziej godnym, o zesłane mu „lo sem“ stanowisko? Na zbórkach menałów siedzieć cichutko i nie odzywać się słówkiem, jak re zsta świeżo upieczonych instruk torów? Bo wy przecież nie lubicie, by wam mówić prawdę w oczy.

Odchodzę od was ze smutkiem, z rozczarowaniem, i gorycz napel nia me serce na myśl o coraz no wych objawach wykołajenia, o wciąż tragiczniejszych starciach w uciążliwym pochodzie do celu.

Nie mogę zostać, bo nie mogę milczeć. Nie mogę mówić — bo nikt mnie nie wysłucha.

Jeżeli wam jednak powyższe rewelacje nie wystarczają, to ow szem, pociescie się na zakończe nie — mam już osłabione serce i nie wolno mi się niczem prze me cząć.

Jeśli i tego wam mało, to miał szykanować — dysputujcie ze mną! Kto wie, może to przynie sie pożytek?

Myślę, że nie mamy powodów do wzajemnej nienawiści. Ja po szłam tylko za głosem sumienia. A więc, szalom, koledzy, i hitrast baarec!

CHAWIWA (Białystok).

W następnym numerze

WYNIKI

KONKURSU LITERACKIEGO

Do jednego z najczęściej ucze szczanych miast i miasteczek Be skid należy i Rabka, słynna z sil nej jodo-bromowej solanki. Rabka jest przytem bardzo ważnym węzłem turystycznym. Dzięki do godnym linjom kolejowym urzą dza się z niej wycieczki na Ba bią Górę, Turbacz i Gorce. Ilość

samych kuracjuszy i turystów do chodzi niekiedy do 10,000 rocz nie.

Bardzo częstym przedmiotem wycieczek z Mszany Dolnej jest wielki Luboń, piękna góra o 1023 m. a także Tatry i Pieniny.

D.C.N.

D. HARN

Z TEKI NASZEGO WŁOSKIEGO KORESPONDENTA.

FIERA DI MILANO

Najładniejszą porą roku na świecie jest wiosna: słończko przygrzewa, kwiaty rozkwitają, człowiek staje się romantyczny. W tym czasie panuje we Wło szach szalony ruch, gdyż każde miasto zaczyna organizować swo ją fiere czyli targi. Przez targi te nie należy jednak rozumieć kilka szalaw, gdzie sprzedaje się róż ne wyroby. Fiera jest bowiem nie tylko targiem, lecz również wy stawą. Starając się zaś ściągnąć jaknajwiększą ilość zwiedzają cych, dba naturalnie, by wypadła ciekawie i oryginalnie. A że udzie la się jeszcze 50 proc. niższe kole jowych, więc nie dziw, że ludek jedzie sobie z jednego miasta do drugiego w celu oglądania tych cudowności.

Największa fiera włoska odby wa się w Medjolanie. Medjolan, miasto nawskroś przemysłowe, zna się na urządzaniu tego rodza ju imprez, w porównaniu z które mi nawet nasza PWK wygląda skromnie. Dość powiedzieć, że fiere medjolańską zwiedzałem przez dwa i pół dnia, nie mogąc nawet obejrzeć dokładnie wszy skich pawilonów.

Rozpoczniemy zatem wędrow kę po wystawie. Na wstępie mu że jednak zwrócić uwagę, że za trzymamy się przy tych tylko, które są oryginalne lub też... hu morystyczne. Ale o tem później.

Zaraz na wstępie mieści się

wystawa filatelistyczna. Jest ona bardzo ciekawie zareklamowana. Wyobraźcie sobie dwie duże ta blice. Na pierwszej znajduje się dziecko, które płacze, a niżej na pis: „Ojczy, kup mi znaczki“! Na drugiej tablicy to samo dziecko uśmiecha się radośnie, a napis głosi tryumfalnie: „Dziękuję ci, tatusiu, za prezenty!“ Wystawa za wiera takie ilości marek, jakich jeszcze nigdy w życiu nie widzia łem. Wszystkie kraje i wszystkie epoki są tu reprezentowane. Znaczki te są naturalnie do kupie nia, to też roi się od małych fila telistów, którzy z namaszczeniem nabywają różne Hondurasy czy Nowe Gwinee.

Obok znaczków mieści się po kój, poświęcony esperantu. Dy zniuje tu sympatyczny młodzie niec, zwracam się więc do niego po informacje co do ruchu espe ranckiego w Italji. Tłumaczy mi on, że esperanto staje się w o statnich czasach coraz bardziej popularne i że 95 proc. członków rekrutuje się z pośród młodzieży. Wyjaśnia mi dalej uprzejmie, że twórcą esperanta jest dr. Zamen hof i jeśli mu środki finansowe pozwolą, pojedzie on latem do Polski, aby obejrzyć „Białystok“ (może chce sobie wyobrazić, z jaką trudnością to wymówił), gdzie u rodził się Zamenhof. Naturalnie przez cały czas zachowywałem się bardzo poważnie, nie zdradza

jąc, że o tym dr. Zamenhofie i ja coś słyszałem.

Teraz skierujemy nasze kroki na wystawę zabawek. W olbrzym im pawilonie rozsiadły się te czarodziejskie sprzęty, które tak nam umiłyły czas w latach dzie cinnych.

Przedewszystkiem zwraca uwa gę wzorowo urządzona stacja kole jowa. Nadjeżdża pociąg, zapala się czerwony sygnał, pociąg za trzymuje się i dopiero, kiedy światło staje się zielone, konty nuje podróż. Jest to tak ładnie zrobione, że do złudzenia imituje rzeczywistość i człowiek mimo woli zaczyna się dziwić, czemu nie żądają od niego biletu pero nowego.

Po różnych grach, jak bilard i krokieć, oglądamy skomplikowa ne budownictwo, z których wy budowano maszyny i domki na cały metr wysokie. Skolei lałki: duże, małe, w kryolinach i bez. Są biedne, są bogate, zupełnie, jak ludzie na naszym świecie. Po tem następują środki lokomocji ro wery, hułaj - nogi, samochody.

Ciekawy jest pojazd konny, poruszany systemem pedałowym, gdyż trzecie kolo znajduje się pod koniem. Jest też resort wo jenny, zawierający karabiny ma szynowe i armaty. Tuż obok sprzedają karabiny „Balilla“. Spe cjalna broszura zachwala go w następujący sposób: „Karabiny

nasz jest autentyczną kopją praw dziwej broni. Jest to najodpowied niejza zabawka dla dzieci, gdyż kształci i rozwija. Karabin, to marzenie waszych dzieci, które to marzenie powinniście zrealizo wać“.

Przy wyjściu z pawilonu za trzymujemy się jeszcze przed cie kawą zabawką, dość dużych roz miarów, która przedstawia blaż na u fotografa i porusza się me chanizmem zegarowym. Ledwo fotograf (naturalnie z długą bro dą) nachylił się nad aparatem, blażen wkłada sobie na twarz maskę świni. Fotograf dziwi się: przerywa robotę, by zobaczyć, co się stało. Wtedy blażen szyb ko chowa maskę. Powtarza się to w kółko.

Kłziemy teraz na wystawę ko żysek. Po drodze spotykamy cha rakterystyczny pojazd sycylijski: maleńki osiołek ciągnie misternie pomalowany wózek. Ma to przy pomnieć zwiedzającym, aby wsta pi li na potrawy sycylijskie do po bliskiego baru.

Lecz oto jesteśmy u celu: na wystawie kożysek. Niecodzienną tę wystawę rozpoczyna kolebka „królewskiego niemowlęcia“, cór ki włoskiego następcy tronu, księżniczki Marij Pii, którą to kolebkę ofiarował jej lud neapolitański (napisałem już o tem we właściwym czasie). Dalej ogląda my cały szereg kożysek nowo czesnych, z których niektóre wyglądają, jak prawdziwe bombon ierki, by wreszcie zatrzymać się nad kolebką japońską: dziecko, przykryte makatami, spi w ob szernem łóżku, gdzie i dorosły człowiek pomieściłby się z łatwo

ścią. Kołyska niemiecka z roku 1825 jest mała i twarda, dziecko zaś przymocowane jest do niej kolorowymi wstążkami. Następna kołyska pochodzi z Węgier i ma wymiary mikroskopijne: jest tak małułka, wąska i ciasna, że wprost podziw bierze, w jaki sposób można tam było uklo wować maleństwo. Dość praktycznie urządziły się mieszkańci Valle de Tours, kiedy szły do pracy. Wkładały bowiem dziecko do pewnego rodzaju skrzynki, na którą kładły pokrywkę. W ten sposób miały pewność, że dziecko przynajmniej nie wypadnie.

Skolei widzimy cały szereg ko żysek używanych w różnych okolicach Italji: sardyńskie dzie ci mieszczą się w kołyskach bogato ozdobionych, ich bracia czy też siostry z Pistoji spią w koszykach, mali mieszkańcy Medjolanu — w rodzaju trumienek, dzieci zaś sy cylijskie w czerwonym wózku, który zapomocą dwóch sznurów umocowuje się do ściany. Najładniejsza jest kołyska wenecka, zbudowana w kształcie gniazduka, ponad którym wznosi się gałązka z drzewa. Z gałązki tej opada mi sterna koronka wenecka, która o krywa całą kołyskę, chroniąc dziecko od owadów.

Na zakończenie mamy maleńki obrazek afrykański. Widzimy więc słomiany szalaw, z którego wyłazi długi drąg, a na nim, w jakimś dziwnym opakowaniu, mieści się dziecko. Narzeczcie zro zumiałem, dlaczego murzyni są tacy czarni: w dzieciństwie prze ciież wystawieni są na działanie promieni słonecznych.

D. C. N.



Z KRAJ

Białystok

Wylazł księżyc z za chmur, spojrzal na Białystok i aż się zatoczył oszołomiony zapachem Białki. Zatkał nos i gapi się, co nowego w mieście.

Wtem zobaczył białe niamoty i obrzucił afisz: „Cyrk Harvey'ego“. Wielki program! Benefis całego zespołu!! Ceny od 25 groszy!!!

— Mam — wrzasnął ucieszony i podyrzał do korespondenta odpowiedzialnego. Przybył na Pola i wali promieniami w szyby. Zbudził się korespondent odpowiedzialny, wylazł z łóżka zły, skrzywiony i pyta:

— Czego chcesz, do jasnej ciasnej!

— Cyrk w Białymstoku — drze się księżyc na ulicy — młodzież wielce się nim zainteresowała (cyrkiem, nie księżycem), oblega ze wszystkich stron, podnosi płóciennie ściany i zagłada do środka. Wypędzają z jednej strony, przyłażą z drugiej i pakują się na gapę, aż miło.

— Wiem już o tem, bałwanie jeden... i że po mieście jeżdżą konno indjanin i indjanka i traper, którzy rozdają reklamy — i że ugania się za nimi cały tłum „ludzi“, przytrzymujących jedną ręką spodnie, a drugą ucierając nosy... i że wystąpiła tutaj Hanka Ordonówna i Igo Sym i... wiem wszystko, a ten idjoła spać nie daje, przedpotopowe nowinki przynosi i wyciąga z łóżka.

— Co ja jestem winien, że ty już wiesz. Ja miałem dobre chęci, a on mi wymyśla — rozplakał się wierny satelita ziemi, — krzywdzi mnie, drań, na każdym kroku, obiecał przenieść na mnie Białystok jeszcze w grudniu i do dziś na obietnicy poprzestał. A kiedy łaży wieczorem, wówczas świeć mi!

Stropił się korespondent. — No nie becz, z „Białymstokiem na księżycu“ to nie moja

Brześć

Są nietylko wiosenne przyjemności, ale i przykrości. Właśnie chcę napisać o rozporządzeniu, które przyszło do nas razem z wiosną, ale niestety, nie jest ono tak przyjemne i miłe, jak ona.

Pewnego wiosennego dnia odczytano nam na lekcji wychowawczej co następuje:

„Zabrania się uczniom spacerować po ulicy 3 Maja (główniej ulicy miasta). Uczennice obowiązane są nosić legitymacje, a na żądanie profesorów pokazywać je“.

Na lekcji wywiązała się taka mniej więcej dyskusja:

— A jeżeli będę musiała coś kupić — spytała któraś.

— No... to pójdziesz — odpowiedziała pani wychowawczyni.

— A ja tam mieszkam.

— A ja... a ja...

Pani waha się.

— No to trudno — mówi wreszcie.

Ja przyznałam, naturalnie w myślach tylko, temu rozporządzeniu trochę racji. Bo jeśli wyjść o 7-ej lub pół do ósmej wieczór, to widzi się tylko cinę szubacką. Istny potop!

wina, nie udało nam się artykuły i odłożono numer Białostocki. Cierpliwie jest największą cnotą — westchnął pobożnie. A od moich spacerów wada ci. Ale wracając do rzeczy, co jeszcze masz „dobrego“?

— Słyszałem jeszcze, że były zawody w koszykówkę o mistrzostwo szkół żydowskich.

— A... tak? Zawody te urządziło Gimm. Hebr. które w ubiegłym roku zdobyło mistrzostwo, ufundowali oni ładny puchar, pewni, że on im się dostanie, a tymczasem sami dostali na fest od gimn. Druskina. Przystąpiły do turnieju cztery drużyny. Pierwsze miejsce o puchar zdobyło gimn. Druskina, drugie Gimm. Hebr., trzecie Żyd. Szkoła Rzemieśnicza, czwarte: reprezentacja uczniów — Żydów z państwówki im. Zygmunta Augusta. Poza tem nic więcej?

— A jeszcze była zabawa tańeczna w gimn. Społecznym. Bardzo się udało. Skończyła się po pierwszej, ku wielkiemu żalowi braci szubackiej, która chciała bawić się do rana. Była to ostatnia dobra zabawa w tym roku szkolnym, teraz trzeba czekać, aż kursal w Ignatkach zostanie otwarty.

Ziewnął korespondent.

— Nie wiesz, jaka pogoda będzie w sobotę? T. zw. „Białostocka Agencja Prasowa Małego Przeglądu“ urzędują wycieczkę do lasu, i ładnie będziemy wyglądać, jeśli nas deszcz złapie.

— Będzie na pe pogoda, ja już z Aurą pogadam na ten temat. No, ale idź już spać. Czolem.

— Czolem. Kiedy będziesz w Łodzi, nie zapomnij powinszować w moim imieniu Łódzkiej Agencji z Pawłem na czele bardzo udanego Małego Przeglądu Łódzkiego. Dobranoc!

Wienio.

Łódź

Jako sumienny kronikarz, powiniennem podkreślić trzy najważniejsze wypadki ubiegłego tygodnia.

Wydaliśmy po wielu długich i ciężkich cierpieniach Mały Przegląd Łódzki, który ukazał się w piątym miesiącu pracy nad nim 15 korespondentów i korespondentek.

Ponieważ zjawisko należało uczcić, postanowiono urządzić zabawę. Los szczęścia, czy nie-szczęścia padł na biedną „muzykantkę“, z zawodu poetkę, 14-letnią Hankę. Miła ta dziewczynka o zielonkawych oczach postanowiła poświęcić siebie i swoje dwa pokoje. Zapadło więc postanowienie: „Dzieci, bawimy się u Haneczki“

Cztery dni przed zabawą i trzy przed numerem Łódzkim wybuchła bomba: odłamki jej cokolwiek rozprysły się na wszystkie strony, lecz ofiar w ludziach nie było.

„Moje dzieci — pisał pan redaktor — forsy na zabawę nie dostaniecie, bo zaburzenia zoładkowe są niegodną formą uczczenia waszego numeru. Uważam zresztę tę sumę, jako nagrodę, za skromną. Otrzymacie więc stypendjum. Przyznaję wam miejsce bezpłatne na obozie turystycznym w Beskidach lub Żegłarskim (do wyboru).

Dobrze i źle. Młodzież nie dba o przyszłość. Zabawa musiała się odbyć. Ozory mało — przeglądowców niemało namylnikowały przy wylicznaniu pomarańczy, czekoladek, nadziewanych figami i orzechami.

Poleciał Paweł do Hanka, Hanka do Halinki, Halinka do Mietka, Mietka do Zygmunta... Zygmunta też poleciał, ale po drodze upadł.

— Ugiąłem się pod ciężarem myśli.

— Ciekawe, skąd je wziąłś.

— Mam przecież głowę na karaku.

— Przedewszystkiem nie głowę, lecz pół głowy, bo twierdzenie, że półgłówek ma głowę jest absurdem.

Zygmuś pojechał do Hanka i

postanowiono, że czego nie da Hanka, dam ja, że zabawę urządzi się.

Nadeszła wreszcie sobota. Zebrała się młodzież i najadła. Niekłowały w czeluściach malinowe pomarańcze i nadziewane orzechami czekoladki. Pytamy Lohusia, co mu się najbardziej podobało w wczorajszym numerze?

— Karykatury współpracowników.

Okazało się, że Lohus wziął maseczki za współpracowników, a siebie oznaczył trzecim z rzędu. Po jedzeniu nastąpiła drzemka, jak to zwykle w porządnym domach. Spowodowana była przez Zygmunia, który uparł się odczytać swoje satyry. Potem bawiliśmy się i nicby nie zakłóciło spokojnej harmonii, gdyby nie niemowlęcy czyn pewnego 15-letniego współpracownika. Chłopiec ten tłumaczył się, że pił za dużo lemoniady, a na to wszak poradzić nie można.

Drugą rocznicą było I majowe święto. Siedzieliśmy wprawdzie w szkołach, ale spowodu śniegu pochód opóźnił się, tak, że weszliśmy do go jeszcze z okien szkoły. Opowiem pewien wypadek. Endecy poczęli pędzić po mieście i ryczeć: „Precz z żydami i ich socjalistycznymi pacholkami“! Na mądre to powiedzonko socjaliści wciągnęli endecków w środek i potłukli laskami. Nadbiegła policja, której zgodnie niecierpią obie grupy. Na placu pozostał tylko jeden człowiek. Dostał kolbą w głowę i upadł. Po chwili wstaje, odchyła kłapę i mówi: „Jestem agentem“.

Podam jeszcze charakterystykę łodziaków, jadących na obóz do Mszany, by nie było uprzedzenia:

Jeden flegmatyczny i logiczny. Drugi miły, sympatyczny, Trzeci to nasz korespondent przecie,

A o nim już dosyć wiecie.

Potem Hala z Wedla

czekoladkami

I brunetka Sara;

Jeżeli dodać tu Jerzyka

Będzie obraz oddziałika.

Paweł.

Radom

A niech i inne miasta i miasteczka znają, że radomiacy choć nie gęsi, także pióra mają.

(Wolny przekład z M. Reja).

Dzień 1 Maja obchodzony był w Radomiu nadzwyczaj uroczysto. W czasie pochodu robotnicy śpiewali „Międzynarodówkę“, zenkając do książeczek, które trzymali przed sobą. Wielkie zainteresowanie wzbudzały również liczne transparenty, wśród których najczęściej było: „Chleba dla mas“ i „Precz z nocną pracą“. Następnie zebrane na placu Jagiellońskim rzesze robotnicze po rozmaitych przemówieniach poszczególnych delegatów wznosiły entuzjastyczne okrzyki: „Niech żyje“.

Z życia kółek i organizacji:

Po długich i ciężkich... zebraniach ukazał się pierwszy numer międzyszkolnego miesięcznika p. t. „Sztubackie głosy“. Cieszył się znaczną poczytnością częściowo ze względu na niską cenę (a nie broń Boże na niski poziom), chociaż jedna z koleżanek westchnęła nad nim słowami Tuwima:

— Hocki, kłocki be ni me.

Dobre pismo, lecz...

Wtajemniczeni szepczą, że cały numer został wydany specjalnie dla wiersza kolegi K. Komuły,

który rzeczywiście jest śliczny (naturalnie, że mówię o wierszu, a nie o koledze, którego nie znam).

W „Masadzie“ Grosmana na jednej z gazetek odczytano szereg morowych komunikatów i odnoszących się do poszczególnych członków. Oto ni mniej ni więcej podano do ogólnej wiadomości, że wytwornie filmowe mają zamiar zaangażować danych członków do takich a takich filmów, z czego śmiechu było co niemiara. Dla przykładu podaje kilka: główny skarbnik masadyjski w filmie: „Demon złota“; jeden z instruktorów wespół ze swem kołem: „Tarzan wśród małp“ i t. p.

Ze sportu:

Na dwóch boiskach przy gimn. M. Gajl odbyły się 9, 10 i 11 maja zawody gimnazjów żeńskich o mistrzostwo w siatkówce. Przykrą niespodzianką był brak drużyny gimnazjum żydowskiego. Jeżeli chodzi o organizację zawodów, to ta była bardzo dobra. Grano na czas. Za zwycięską uznano tę drużynę, która wygrała u wszystkich pozostałych. Zwyciężyło nasze gimnazjum (państwowe).

Biba i Gina.

Zamość

4 maja o godzinie 7.30 rozpoczęła się w Ogrodzie Przyrodniczym uroczysta wieczornica młodzieży gimnazjów państwowych. W alpinarium zbudowano pomnik Zamojskiego. Wśród cichego szmeru spadających przez fontannę kropel wody i głośniego bicia własnego serca wystąpił kolega z kl. VII gimn. im. fundatora i złożył przemówienie. Mówił z entuzjazmem i miał dobrą dykcję. Nawiązał uroczystość odsłonięcia pomnika do czynu majowego, a potem przeszedł do konstytucji marcowej. Mowę zakończono okrzykami na cześć Państwa, Prezydenta i Marszałka.

Wielki efekt roboty pochodnie, palące się w głębi ogrodu. Nastroj podniosły wytworzył się przez odśpiewanie hymnu narodowego. Chór odśpiewał „Witaj dniu 3-maja“. Uroczystość trwała do 8.30. A propos Ogrodu. Drugiego międzwiadka sprzedano wojsku. Spodziewamy się, że na przyszły rok znów będą młode.

Ważne: Chodź na dozwolone filmy gratis. Byłam na „Wiosennej paradzie“ z Franciszką Gaal. Jej żywiołowość jest zachwycająca. Przepadam za Franciszką z tego też powodu, że w rodzinie przypisują mi podobieństwo do niej. Bal w Savoy'u, to świetna komedia. Uśmieiałam się do łez. Ponieważ Gitka Alpar śpiewała „Toujours l'amour“ i kilka razy całowała się ze swym partnerem, niejedna dziwiła się (!), że pozwolono iść na ten film.

W pierwszych dniach poświęconych panował niezmiernie ruchliwy handel zamienny. Za jedną macę mogłeś dostać dwa okazale mazurki.

Z życia kółek korespondentów. Obóz małych korespondentów stoczył ciężką walkę z grupą dorosłych. Obiektem sporu była paląca kwestja tytułowania. Mali członkowie kółka zamojskich korespondentów Małego Przeglądu chcą zwracać się do starszych, nie wyłączając prezesa, per ty. Starsi w świętem oburzeniu natarii na młodszych tak gwałtownie, że ci, mimo hałasu, który dotarł chyba do Stambułu, nic nie wskórali. Przewodnicząca ogłosiła obecnym, że tytuł „członek“ jest obowiązującym i kwita. Za pięciokrotne użycie innego tytułu niż „członek“ płaci się karę 5 gr. Ustawa ta nadwyrężyła stan finansowy przewodniczącej, która za 11-krotne wolańie: „Dycia (mniast skarbniczko), uspokój się“, zapłaci 55 gr. (słownie: całe pięćdziesiąt pięć groszy).

Nowemu sekretarzowi, Salonowowi, należy się pochwała przez prasę. Wypełnia swe obowiązki chwalebnie. Jego protokoly są nietylko precyzyjne, ale cięte i pełne humoru, tak, że przy odczytywaniu zachodzi poważna obawa, czy członkom nie pękła zoładki. Zauważyłam, że nasze kółko składa się z rodzinnych kółek, z wyjątkiem członkini Dyci, reszta to siostry, członkini Dyci, reszta to siostry, lub siostra i brat. Ostatnio przyjęła na łono kółka członkinię Wajntraubówny Nusia i Malgośia są siostrami.

Rozmaite.

Przygotowuje się u nas tradycyjne doroczne święto samopomocy. Program bogaty. Spodziewamy się wielkiego dochodu.

Rospozwały się zawody lekkoatletyczne. Odbył się trójbój lekkoatletyczny o mistrzostwo młodzyszkolnego klubu sportowego. Dorka.

ŚWIĘTO MATKI

OCZY MOJEJ MAMY.

Ktoż rozweseli oczy mej matki
Te czarne, smutne oczy!
Jeden uśmiech i znowu smutek
Łza srebrna się potoczy.
Czasem dostrzegę smutek
w tych oczach,
Wtedy dochodzę tam z żarcikami
Lecz matka wiedząc, czego
ja chcę
Odwraca się, zalana łzami.
Płyną łązki, płyną czyste, jak
perły,
I wkrótce z oczu znikają,
Tylko Zygus albo Leonek
Oczy te rozweselają.

Luśka z Krakowa.

KOCHANE SŁOWO.

Jakie kochane jest to słowo
Matka. Przyglądam się mojej ko-
leżance, która nie ma mamusi.
Nie jest porządnie ubrana, nikt
się nią nie opiekuje i każdy ją
gani.

Ile trudu kosztowało moją ma-
musię, zanim mnie wychowała.
Ile łez uroniła, czuwając nad mo-
jem łóżkiem, gdy bywałam cho-
ra. Przypominają mi się czasami
piosenki, które śpiewała, koły-
sząc mnie na rękach. Całowała i
tuliła mnie do siebie.

Moja dobra mamusia myje
mnie, czesze, daje na książki i
posyła do szkoły, bym wyrosła
na pożytecznego człowieka. Dla-
tego kocham moją mamusię, któ-
ra mnie również tem samym ob-
darza.

Pola z Pawiej.

NIESPODZIANKA.

Zbliża się dzień Święta Matki.
Muszę pomyśleć, co zrobić mo-
jej drogiej matce. Nie mam
pieniędzy, żeby kupić drogą rzecz
— więc oto, co pomyślałam:
Wcześniej połóż się spać, a-
bym mogła nazajutrz wstać, sko-
ro świt. Gdy mamusia jeszcze
spać będzie, pocichutku zabiorę
się do roboty.

Sprzątne pokoje i kuchnię.
Gdy wszystko już będzie godo-
we, cicho wyjdę na ulicę, kupię
bukiet kwiatów i wstawię do
wazonu. Koło łóżka mamy po-
stawię stolik z serwetką, którą
zrobiłam specjalnie dla mamy, a
na stoliku śliczny wazon. Jak
matuchna się obudzi, będzie bar-
dzo zadowolona.

Felusja z II oddz.

NASZE WIECZORY.

Miłe są nasze wieczory w do-
mu.
Oczywiście wpiężej odrabiam
lekcje, potem zaczyna się zaba-
wa. Każdy bawi się, jak umie.
Tylko mama zabiera się do repa-
rowania naszych ubrań, które
ciągle drzemny.

Wieczorem mama jest już zmę-
czona. Głowa opada jej na pier-
si, już zasypia, ale przypomi-
na sobie, że przecież jutro po-
winna mieć czyste i całe u-
brania, żeby się nie wstydzić w
szkole, więc z trudem otwiera
senne oczy.

Wtedy prosimy zwykle mamę,
żeby nam coś opowiedziała. I
mama opowiada. Opowiada, jak
ludziom było na wojnie świato-
wej, o swoim dzieciństwie i róż-
ne inne, ale prawdziwe historie.

Wybija godzina dziewiąta.
„Czas spać!” — woła mama.
W łóżku przypominamy sobie
jeszcze, co nam mama opowia-
dała i zasypiamy snem równym i
spokojnym.

Gdy się rano budzimy, wydaje
nam się snem to wszystko, co
mama opowiadała i niedowierza-
jąco patrzymy jeszcze w pół-
przymkniętymi oczami na kocha-
ną mamę.

Estusia ze Stawek.

U MAMY NAJLEPIEJ.

Nadeszło lato. W Warszawie
było duszno i parno. Ludzie wy-
jeżdżali na wieś.

— Dokąd jedziesz — zapytał
mnie kolega.
Odpowiedziałem, że jeszcze
nie wiem. I naprawdę nie wie-
działem. Rok rocznie wyjeżdża-
my i w tym roku mieliśmy za-
miar wyjechać, ale jakoś nie do-
szło do skutku. Jestem słabym,
wieś jest dla mnie niezbedna,
więc moi rodzice postanowili wy-
jechać do dziadka.

Dziadek, to starszy, zamożny
człowiek o niesympatycznym wy-
glądzie i niedobrym charakterze.
Ma on żonę złośliwą, o 35 lat
młodszą od siebie i córeczkę 10-
letnią, która ma podobny charak-
ter do swoich rodziców. Z nie-
chęcią jechałem do tych ludzi,
znając ich charakter.

Na początku mego pobytu u
dziadka byłem jeszcze miłe wi-
dziany. Po kilku dniach obojęt-
ny, a potem już niepotrzebny. U
mnie w domu, chociaż mówią mi
rodzice, że jestem niegrzeczny i
nieposłuszny, ale nie mam im te-
go za złe, bo mnie uczą, ale ko-
chają nade wszystko.

Dopiero tu, zdała od nich u-
czulem brak miłości. Nawet je-
dzenie dawała mi babka jakby z
trudem. Chciałem jej dać do zrozu-
mienia, że tak nie jest, nie jestem
obcym, jestem z jednej krwi, z
jednych kości. A ile razy roniłem
łzy w ukryciu, gdy nikt nie wi-
dział. Potem było mi trochę lżej
na sercu. Najlepiej czułem się,
gdy mogłem sobie pójść daleko,
opuścić ten dom, w którym mia-
łem tyle przykrości.

Już kilka razy gotów byłem u-
ciec do domu, ale przecież War-
szawa była dla mnie trucizną. My-
ślałem: może przejdzie, może oni
zastanowią się: a jednak, wnu-
czek! I tak płynęły dni za dnia-
mi. Chciałem napisać do domu,
jak mi tu jest u dziadka, ale... le-
piej nie martwić rodziców.

Nie chciałem pisać prawdy. Ale
prawda była na wierzchu. Świad-

czył o tem mój wygląd. Po przy-
jeździe wyglądałem bardzo mi-
zernie. Poczulem badawcze i
mądre spojrzenie matki.

Zrozumiałem, że wie już o
wszystkim. Bez tłumaczenia, bez
opowiadania wiedziała jak i co-
jak miło i dobrze było mi w ra-
mionach mojej matki, jak gorące
i pełne miłości były jej słowa,
przerwane pocałunkami.

LEON z Twardej.

OBCHÓD W SZKOLE.

Chciałbym napisać słów kilka
o obchodzie Dnia Matki w naszej
szkole. Zbierałem i oszczędzałem
pieniądze na Dzień Matki, jednak
miałem ich mało, więc zwróciłem
się do tatusia. Okazało się, że
tatus dał trzy razy więcej pieni-
dzy ode mnie.

Pewnego dnia pani powiedzia-
ła, że mamy się stawić u fotogra-
fa. W domu powiedziałem, że idę
do szkoły, bo jest zbiórka. Pan
profesor dał mi hebrajski wiersz.
Długo się uczyłem.

W ubiegłym tygodniu pisa-
łem wypracowanie na Dzień Mat-
ki, ja jeden napisałem wiersz
dziewięciozwrótkowy. Najlepsze
wypracowanie miało być odczy-
tane w dniu obchodu, lecz ku o-
gólnemu niezadowoleniu pani po-
owiedziała, że z naszej klasy żadne
wypracowanie nie będzie odczy-
tane.

Tymczasem w klasie wrzała
praca. Czyszczono ranki do foto-
grafii, wieszaczki. Na następnej
lekcji opakiwaliśmy fotografie
bibułka i owiazaliśmy złotem
sznurczkami.

W Dniu Matki otrzymałem
lewkonje. Obchód rozpoczął się:
spoczątku pan profesor wygłosił
przemówienie, niektórzy chłopcy
deklamowali, między nimi byłem
i ja. Następnie jeden chłopiec śpie-
wał solo. Po śpiewie p. prof. od-
czytywał wypracowania. Potem
znów deklamacje. Chłopiec z
trzeciej klasy odczytał rozdział z

książki „Miasto mojej Matki”.
Wybrano kilku chłopców z chó-
ru, mnie także. Odsławialiśmy
piosenkę. Pan profesor czytał da-
lej wypracowania i zrobiono nam
niespodziankę. Wychowawca po-
owiedział, że odczyta wypracowa-
nie ucznia klasy pierwszej i to
wiersz. Zaraz zrozumiałem, czyje
to będzie wypracowanie. Kiedy
usłyszałem słowa: „Do Mamusi”,
ucieszyłem się niezmiernie.

Po odczytaniu wszystkich wy-
pracowań oddaliśmy podarki
matkom. Mamusia powiedziała,
że powiększy i zrobi portret.

SZAJUŚ.

WYCIECZKA.

W dniu Święta Dziecka szkoła
nasza wybrała się na wycieczkę
na plac Makabi. Czekaliśmy nas
niespodzianki i szereg zabaw.

Nie zważając na pogodę stane-
liśmy o godzinie wpół do dzie-
wiątej w szeregu i mieliśmy już
wyruszyć, gdy spadł deszcz i
musiałśmy się cofnąć. Obecne były
wszystkie nauczycielki z opieką
szkolną. Weszliśmy do klasy i
tam przeczekaliśmy deszcz. Po
półgodzinnym czekaniu weszła
pani kierownicza i powiedziała,
że można już iść.

Zanim się jednak ustawiliśmy,
znowu spadł deszcz. Wśród wrza-
wy, śmiechu i żartów wróciliśmy
do klasy, gdzie tańczyliśmy ho-
re. Nareszcie deszcz ustął. Poraz
drugi zeszliśmy i po długim wy-
czekiwaniu wyszliśmy.

Każda z nas trzymała garnu-
szek z paczuszką jedzenia. Pocz-
kaliśmy się, same nie
zabrałyśmy garnuszeki, same nie
wiedziałyśmy. Wiedziałyśmy tyl-
ko, że pani nam kazała.

Już jesteśmy na miejscu — za-
wołała jedna, a za nią inne.
Plac Makabi jestto ogromne
boisko, gdzie się zawsze odby-
wają mecze.

(Dokończenie na str. następanej).

BASIA.

DZIECIAKOWO

Wtorek, 10 lipca 1934 r.

Dzień upalny, ale na plażę nie
poszliśmy, bo jeszcze piach jest
mokry. Po śniadaniu grałam w
warcaby, uczono mnie gry w sza-
chy.

Po podwieczorku pojechaliśmy
na spacer na rowerach: ja, Chil,
Geniek i Tolek. Jazda była wspa-
niała. Znaleźliśmy ścieżkę, która
ciągnęła się daleko wgłęb lasu.
Rower mknął szybko. Ale robiło
się coraz goręcej. Musiałem zdjęć
bluzkę, a że nie wiedziałam, co z
nią zrobić, więc po krótkiej nara-
dzie z moimi towarzyszami wło-
żyłam ją na głowę. Teraz było już
dobrze. Nagle bluzka spadła mi na
oczy i poczułam, że lece. Po chwi-
li zdjęli mi moją zastonę. Leżałam
w rowie.

Po kolacji, jak zwykle, zostały
starsze dziewczęta i chłopcy. Gra-
liśmy w sekretarza. Wtem przy-
chodzi pan Nowogrodzki:
— Słuchajcie, musimy przy-
nieść kajak.

Odpowiedzią na to było gło-
sne hurra! Bo z tym kajakiem to
taka historia: Oddawna chcieli-
śmy go mieć, mieliśmy nawet za-
miar sami zrobić, ale nie było
materiału. Wreszcie Hil zaofiaro-
wał nam swój własny kajak. Ten
zaś stał u sąsiadów, niedaleko
pensjonatu. Udaliśmy się po nie-
go. Wlekliśmy go wszyscy na
zmianę, aż zanieśliśmy go do wil-
ki.

To się dzieci uciessa, gdy zo-
baczą jutro kajak!
Środa 11.VII.

Dzisiaj odbyła się dawno oczeki-
wana wycieczka. Jeszcze w zesz-
łym tygodniu mówiono o niej
na radzie pedagogicznej. Od
dwóch tygodni cieszyliśmy się na
myśl o tej wycieczce. Wreszcie
dzisiaj wyruszyliśmy.

Pogoda była piękna. Część
dzieci miała jechać, a część iść.
Ale tak się złożyło, żeśmy wszy-
scy pojechali. Wynajęto cztery
iury. Jechaliśmy do Morskiego
Oka (nie w Zakopanem, lecz za
Falenicą). Na wozach śpiewali-
śmy i graliśmy w inteligencję.

Pan E. siedział na naszej fu-
rze, na samym przedzie. Jerzyk
cały czas wiercił się koło jego kie-
szeni, aż wreszcie zawołał:
— Na licytację, na licytację!

Wyciągnął z kieszeni pana E.
zegarek, portfel, papierośnicę, gu-
ziki, chustkę i jeszcze wiele rze-
czy. Wszystkie podnosił w górę,
wołając:
— Na licytację!

Pan E. tak komicznie łapał
swoje rzeczy, żeśmy o mało nie
pękli ze śmiechu.

Nad Morskiem Okiem od razu
zabraliśmy się do śniadania.
Wszyscy byli gładni. Zjedliśmy
po osiem kawałków chleba, po 2,
3 nawet 4 jajka, ser biały i szwaj-
carski, piiliśmy masłankę i her-
batę.

Potem starsze dzieci poszły z
wychowawcami na „Zbojcką gó-
rę”, male zostały. Przedewszyst-
kiem poszliśmy do Morskiego
Oka. Jest ono tak małe i ma tak
ciężką wodę, żeśmy się zaraz
stamtąd odsuneli. Dawniej był tu
piękny staw. Ale teraz to nietyl-
ko nie godnego uwagi, ale... fe!

Na „Zbojckiej górze” znów
rozczerwiliśmy. Niska góra, ma
może 50 mtr. wysokości. P. Pola
twierdzi, że 1000. Broni tej góry,
bo sama zaproponowała wyciecz-
kę. Podobno na tej górze miesza-
li kiedyś zbójcy. Naprawdę szu-
kaliśmy śladów po nich, pozosta-
łości.

Nagle Geniek krzyczy:
— P. Polu, jest!

W głębi, wśród krzaków, na
szczyt góry, ukryte przed o-
kiem ludzkim (ale nie przed o-
kiem Genka — ten wszystko zo-
baczy) stało... nocne naczynie,
ale tak ogromnych rozmiarów, że
Sewek od razu orzekł:
— Na niem mógł siedzieć tyl-
ko zbójca — olbrzym.

Dalej leżał stos kamieni. Tu
znów Geniek zawołał:
— Cześć wam i sława.

Twierdzi on bowiem, że tu
właśnie jest ich grób. Wśród
krzaków znaleźliśmy wreszcie
poziomki, borówki. Uzbieraw-
szy pełne kubki, zabraliśmy się do
jedzenia. Siedziemy na trawie,
wtem Sewek wstaje i woła:
— Patrzcie, jaki grzyb pode-
mna!

Jakie to dziwne, odpowia-
da spokojnie Geniek — już
zdążył urosnąć. Przecież niedaw-

no tu usiadł.

Oczywiście wszyscy w śmiech.
Poprosiłam Chilę, żeby zrobić
zdjęcia (ma świetny aparat).
Chil zrobił osiem zdjęć, Dziunia
sześć. Ja jestem prawie na
wszystkich: trzy razy zdjęłam
się na drzewie. Bardzo trudno
było wleźć na drzewo, ale dlate-
go, że chłopcy powiedzieli, że
nigdy nie wleźę, to właśnie posta-
nowiłam tam się dostać. Zeszłam
z pokrwawionymi nogami, cała
pokałeczona, ale na drzewie by-
łam.

O pierwszej wróciliśmy do
matych. Wszyscy w krzyk: jeść!
No, jak jeść, to jeść.

Potem chłopcy bawili się w in-
djan. Pan E. twierdził, że zaraz
będzie deszcz, p. Pola zaś mó-
wiła, że deszcz spadnie dopie-
ro po godzinie. Dzieci także roz-
dzielili się na dwa obozy. Jąbym
nawet wołała, żeby był deszcz,
bo lubię takie przygody. Niesę-
ty, pan doktor i p. Anka przedko
ubrali dzieci, wsiedliśmy na wozy
i pojechaliśmy. A chmury sunęły
za nami: coraz bliżej i bliżej. Ale
dopiero w Dzieciakowie, kiedyś-
my już wysiedli, lunął deszcz.
Padał długo, prawie cały dzień.
Ale wycieczka udała się, wszyscy
byli zadowoleni.

Czwartek, 12.VII.
Dzisiaj odbyło się zebranie dzie-
ci, czwartego stołu. Mówiliśmy o
tem, kto i kiedy ma iść spać.
Więc wszystkie dzieci idą o ós-
mej, dwunastka o 8-ej m. 30, a
siódemka najstarszych o 9-ej
min. 30.

Po tem zebraniu było posiedze-

nie komisji redakcyjnej. Do redak-
cji należą: p. Pola, Władek, ja i
Mania. Jedna gazetka już wyszła
(mnie wtedy jeszcze nie było).
Artykułów jest dużo. Przeczytali-
my wszystkie zastanowiliśmy się,
które z nich nadają się do druku,
i jak mamy poprawiać. Podobno
nad pierwszą gazetką pracowano
bardzo dużo, teraz też będzie spo-
ro pracy.

Dzisiaj znowu była historia z
Szymkiem. Odbywa on kurację
odluszczającą, a je za dziesięciu.
Szymus ma dopiero 12 lat, ale
wazy już 50 klg.

— Szymek, mówi p. Pola —
znów zjadł bochenek chleba.
Przecież twoja matka będzie się
gniewała, kiedy ci przybędzie pa-
rę kilo.

— Ale nie, proszę pani, prze-
cież to razowy chleb, od tego nie
przybywa.
Nie dziw, że tyle je, bo lubi
pracować. Wszystkie roboty wy-
konuje Szymek. Kajak trzeba
przenieść nad rzekę — idzie Szy-
mek. Trzeba ubić ziemię, przy-
nieść konewki z wodą — znów
Szymek. Poza tem nie odpoczywa,
ale ciągle jeździ na rowerze. I mi-
mo to wciąż mu przybywa.

Dzisiaj właśnie Szymek zjadł 15
pączków. Cały pensjonat został
poruszony. Żebyście widzieli, jak
on komicznie wyglądał, zająda-
jąc. Twarz miał czerwona, pot
lał się z niego, ale wciąż, aż
strach!

D. C. N.

Rozbiegłyśmy się, jak młode kozłeta, wypuszczone na wolność. Klasa nasza miała kilka piłek i dwa futbole. Rozdzieliliśmy się na kilka grup. Jedne grały w koszykówkę, siatkówkę i ambasadora. Oddział pierwszy bawił się w węża, koła i t. d. Żadne znow rozłożyły swoje śniadanki i jadły.

Wtem jedna zawołała:
— Bociany, bociany leca!

Wszystkie oczy zwróciły się ku górze, głośno rzeczywistość leciały bociany.

Wtem padł krótki rozkaz nauczycielki:

— Przestańcie grać i stancie w szeregu. Zabierzcie z sobą garnuszki.

Wśród śmiechu i śpiewu czekałyśmy. Nareszcie przyszła kolej i na nas. Staliśmy i czekałyśmy, co nam wleją. Nie zdążyłyśmy się obejrzeć, a w garnuszkach było mleko i już miałyśmy w ręku ciastko z serem.

Niektóre mleka nie lubiły, więc oddawały biednej kobiecie, która była bardzo zadowolona, że dzieci jej dostaną trochę ciepłego mleka.

Na tem skończyła się pierwsza niespodzianka. Z zaniepokojeniem czekałyśmy na drugą. Przez ten czas bawiłyśmy się, grałyśmy, śpiewałyśmy, jednym słowem, zabawa była w pełni.

Znowu kazano nam stanąć w ogonku. Jedne mówiły, że dadzą nam obiad inne — ciastka, ale właściwie nikt nie wiedział co. A gdy pierwsza para dostała, dowiedziałyśmy się, że rozdają torbki z łakociami.

Wtem spadła prawdziwa ulewa. My zaś wraz z paczuszkami wróciliśmy do domu mokre, jak koły. Ale byliśmy bardzo zadowolone z pierwszej naszej wycieczki tegorocznej.

HELA i MALA z Częstochowy.

Wyjazd na wieś

Tuk, tuk, tuk, tuk, coraz prędzej, coraz szybciej. Staje przy oknie. Zbliżam się coraz bardziej do celu. Wszystko mi znane. Hurra. Struga! hop, hop, nasz dom! Wszystko pędzi, leci przed oczyma. Wtem plant, zaraz będzie stacja. Myśli przerywa przez raźliwy gwizd pociągu. Ciężki, syczący wtacza się pociąg na stację. Tak, ta sama. Nic się nie zmieniło.

— Proszę pani, może ja panią odwiozę. Gdzie, gdzie?

— O, to stara znajoma! — krzyczy jeden.

— Ny, furyn zy myt myjo? wus? — krzyczy drugi.

Takie krzyki rozległy się, gdy z babką weszliśmy na peron. Ostatecznie wzięliśmy furę. Furman załadował nasze rzeczy i pojechaliśmy.

Tak. Wszystko to samo. Przy pomina mi się, że po drodze jest okropny dół, przez który już nie jedna fura przewróciła się. Zbliżamy się do przepaści. Obejmuję babkę, by się nie bała, chociaż, nawiasem mówiąc, i ja bałam się porządnie. Przejechałyśmy rów bez nieszcześliwych wypadków. Po drodze las, w którym w zeszłym roku zbierałam jagody i grzyby. Dalej całe krzaki jeryn. Ileż to razy wlatywałam w te krzaki, kalecząc się miłośnicznictwem. Potem już jakby szachownicą — ułożone kartofle, żyto, żyto i kartofle.

Jeszcze tylko ominąć pagórek

i już dom. Zajeżdżamy przed gospodę.

— Dzieńdobry pani starszej, co słychać, jak zdrowie? A panienka tak urosła, ho—ho, cała pannica! Hej, Wanda, obacz — no gdzie ojciec?

— Proszę, proszę, słomę już przyniosłam. Wszystko w najlepszym porządku. A panienka będzie miała dużo kwiatów w tym roku.

Teraz zaczynają się rozpakiwywania. Rzecz to zarazem trudna i nudna.

Tego dnia pracowałam jak pszczołka. Wszystko robiłam (matka została jeszcze w Warszawie, brat poszedł na tak zwany przez nas „połów kwiatów” do zielnika).

Następny dzień był świetny. Bawiłam się cudownie. Czekalam się cudownie. Czekalam tylko na przyjazd matki, aby być wolnym ptakiem. Nareszcie — niedziela. Urwałam w ogródku trzy piwonie i poszłam na spotkanie matki. Lokomotywa wychała na stację, a z wagonu wyskoczyła mama. Nie obeszło się oczywiście bez robienia urwag o wyglądzie. Wzięliśmy furę i znów ta sama droga. Zajeżdżamy przed dom.

Następny dzień przyniósł zupełnie coś innego. Jakby odrodzenie. Po pierwszym śniadaniu byłam wolna!

Halinka.



ROZWIĄZANIA Z NUMERU

POPZEDNIEGO.

METAMORFOZA:

r	a	s	a
r	a	t	a
m	a	t	a
m	e	t	a
m	e	t	r

REBUSIK I PARASOL-LOGOGRYF

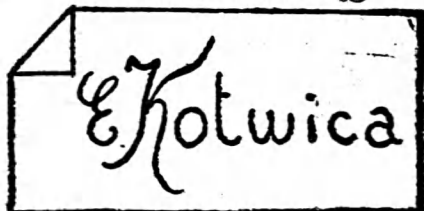
	1	
	2	
	3	
	4	
	5	
	6	
	7	

w kratki wpisać litery tak, aby powstało 7 wyrazów o podanym niżej znaczeniu. Litery oznaczone cyframi dadzą rozwiązanie.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

- 1) Strumień,
- 2) wyspa na morzu Śródziemnym,
- 3) barwa,
- 4) ochrona okien więziennych lub klatek dzikich zwierząt,
- 5) środek lokomocji,
- 7) orator

BILET WIZYTOWY. nadesłał N. Forcajg



W jakim mieście urodził się właściciel wizytówki?



ZARTY.

KATASTROFA.

— Czegoś taki zły?
— Bo mi zginęły okulary! I nie mogę ich zacząć szukać, póki ich nie znajdę!

FACHOWIEC.

Na ogłoszenie pewnego pisma że redakcja poszukuje siły, która by załatwiała dział odpowiedzi redakcyjnych, zgłasza się jakiś starszy pan.

— Czy czuje się pan na siłach by odpowiadać na niemożliwe pytania?

— Oczywiście. Jestem ojcem ośmiorga dzieci.

PIJACKA LOGIKA.

Godzina druga w nocy. W barze siedzi dwóch przyjaciół. Rozmawiają:

— Powiedz mi... kto... która go dzina?

— Je... jeszcze nie... niema jedena...stej.

— Skąd wiesz?

— B...bo o je...jedenastej miałem by...być w domu a je...jeszcze jestem tu!



BEES.

Aż do Młocin...

Gdy kupiłam gazetę, zaraz rzuciło mi się w oczy ogłoszenie o wycieczce. Odrazu znalazło się wielu amatorów, którzy prosili, żebym ich zabrała. Udałam się do Chaima.

Chaim spóźnił się o 45 minut. Wszyscy zadawali mu pytania, jeden usiłował przekrzyknąć drugiego, tak, że biedny Chaim o mało głowy nie stracił, nie wiedząc, komu wprerw odpowiadać. Wreszcie dostałam bilet i poszłam do domu. Wyciągnęłam spod szafy plecak, który po kilkumiesięcznych wywczasach mógł się do czegoś przydać. Ale jak on wyglądał! Zmarniał biedak bardzo podczas wycieczki. Wykapałam go, wyszorowałam i załatwiałam dziury.

Szykowałam się do wycieczki cały dzień, chociaż roboty miałam mało. Ciągłe liczyłam, ile czasu jeszcze pozostaje do 9-ej, żeby już pojsć spać i skrócić oczekiwania. Ale przyszli goście, których mimo nieszczerych chęci musiałam bawić do 11-ej. Nie moja wina, że nie usłuchałam światłych wskazaówek redakcji. Całą noc nie mogłam zmusić oka; ciągle myślałam o wycieczce. Wreszcie zasnęłam, lecz o 4 już się obudziłam, a o 5-ej byłam gotowa. Wśród błagań mamusi, żebym nie piła wody, nie jadła lodów, nie wychylała się przez poręcz i t.p. wymaszerowałam z domu.

Zacęłam się dobijając do bramy, która spowodowała wczesnej pory była jeszcze zamknięta. Zbudziłam nieszczęśliwego dozorcę, który mruczał pod nosem coś: co mogło być przekleństwem lub modlitwą. Nie chciał mi otworzyć bramy, ale wkońcu musiał.

Ten pierwszy nieprzychylny znak wcale mnie nie wzruszył. Szłam dalej z dumnie podniesioną głową i niezbita z tropu. Po drodze spotkałam koleżankę i razem udałyśmy się na miejsce zbiórki. Przed synagogą rojło się od dziewcząt i chłopców w lśniących warkoczach i koszulach. Z trudem odszukałam współpracowników Małego Przeglądu.

Chaima oczywiście nie było jeszcze, chociaż przyrzekł z ręką na sercu, że przyjdzie o godz. 5. Nareszcie przyszedł, ubrany w strój gladiatorów - piekarski.

Przez całą drogę Chaim, dumny, że prowadzi taki pułk, darł się w niebogłosy: „ach! sztaim, sztaim, arba!”. Sztandarem naszym była czerwona chorągiewka, podobna do twarzy Chaima, z napisem — Mały Przegląd.

Przy moście z niemalym przeżenieniem spostrzegliśmy, że statek wraz z młodzieżą już wynur-

zył. Część zaczęła lamentować, a niektórzy z rozpaczliwym modlitwą. Lecz te wszystkie strachy przysły, jak bańki mydlane, ponieważ statek, którym mieliśmy wraz z organizacją Hanoar Hacijoni wyruszyć, stał jeszcze przy przystani.

Pojawienie się nasze wywołało poruszenie wśród zebranych tam matek, ojców, sióstr, braci etc., którzy wskazywali na nas palcami, mówiąc: „O, Mały Przegląd”.

Przed przystanią, kiedy Chaim ustawił nas w czwórki, zdarzyła się mała przygoda. Otóż jedna z uczestniczek poczuła, że coś się jej leje po plecach. Przy pomocy usłużnych koleżanek zdjęła plecak i okazało się, że korek od butelki znikł bez śladu, a herbata wylała się. Wreszcie wszystko w porządku, dołączyliśmy się do szmrow i razem czekamy. Szmrow zaczęli śpiewać, z czego my także byliśmy zadowoleni, bo przedko minął czas. Nogi bolały nas bardzo, więc z radością, usiedliśmy na pokładzie. Mijamy cytadelę i zabudowania. Zdaleka ujrzeliśmy bejarowców, których statek stanął na mieliźnie; mijamy ich uroczystym milczeniem (jak przystoi wychowanym ludziom). Wreszcie zdała ujrzeliśmy kontury Młocin, w kilkanaście minut później schodzimy ze statku, wdychając ożywcze i czyste powietrze Młocin.

Po zbiórce i uroczystościach zabrakło wody. Mieliśmy tak suche gardła, że miało się wrażenie, jakobyśmy się znajdowali na pustyni. Nagle Chaimowi wpadła zbawcza myśl do głowy.

— Trzeba postać po wodę do pierwszej napatkanej gospody. Przenajmniej 50 gr. nagrody z forsy redaktora. No, na ochotnika, kto idzie?

Zgłosiło się wielu. Wybrano Henka, Jerzego, Mimię i mnie, lecz zaraz dołączyło się jeszcze sześciu, którzy mimo perswadowań także poszli. Heniek miał nas pilnować, żebyśmy nie zbłądzili i nie wypili wody, ale Heniek zapomniał, którzy mamy iść, więc zawrócił znów do obozu. Gdy otrzymał dokładne wskazówki, ruszyliśmy. W drodze napotkaliśmy pagórki, no i oczywiście drzewa i krzaki, które Heniek II (nie opiekun), obdarzony bujną wyobraźnią, przedstawiał jako góry Himalaje, drzewa, jako nieprzebyte puszcze, a nas, jako poszukiwaczy przygód. Mieliśmy przejść przez kołczaste druty. Pierwszi przeszli bez szwanku, tylko Minia podarła spódnicę, z czego Heniek — opiekun bardzo się martwił i stłukł butelkę. Wreszcie

Komunikat Obozu

W celu uniknięcia nieporozumień, przypominam wszystkim uczestnikom Obozu Turystycznego „Małego Przeglądu”, że:

1) — należy natychmiast odpowiadać na listy kierownictwa Obozu, gdyż zwłoka w odpowiedzi utrudnia prace przygotowawcze.

2) — ci, którzy w zgłoszeniach nie nadmienili, czy zapisują się na jeden tylko miesiąc i który, powinni niezwłocznie to uczynić; inaczej bowiem zdarzyć się może, że przy układaniu listy uczestników Obozu w poszczególne miesiące, korespondent, pragnący wyjechać — damy na to — z pierwszą grupą, wyjedzie z drugą (na lipiec—sierpień).

3) — zaświadczenie lekarskie jest konieczne; to też ci, którzy do podania nie załączyli pozwolenia lekarza, muszą jaknajprędzej je przysłać.

ma przejść ostatnia z dziewcząt, która mimo usiłowań Henka, by jej się coś złego nie stało, potłukła się w kilku miejscach, a przechodziła tak śmiesznie, że Jerzy zaczął się tarzać po ziemi i śmiać jak umysłowo chory.

Wreszcie przedostaliśmy się szczęśliwie. Idziemy dalej, aż natrafiliśmy na gospodę, raczej na willę. Przed furką stał gospodarz, do którego zbliżył się Heniek, prosząc grzecznie o wodę.

Uprzejmy gospodarz pozwolił nam wziąć wodę, by zaspokoić pragnienie współpracowników. Weszli tylko chłopcy, reszta czekała, przed willą. Wreszcie i my napiłyśmy się wody, zwilżając suche gardła. Woda miała czarodziejską moc: zaraz przybyło nam dużo sił. Heniek popieszył na werandę do gospodarza, który był zajęty pakowaniem do ust ostatnich już kawałków mięsa i serdecznie mu podziękował. Gospodarz odrzekł, że nie warto dziękować za taką drobnostkę i przedstawił się:

— Bolesław Zdziarski.

Powrotna droga przeszła bez

4) — 1-go czerwca należy wpłacić drugą ratę w sumie 10 złotych.

Przy sposobności komunikujcie, że możemy przyjąć jeszcze kilku kolonistów. Warunki te same: 1) — wiek od 12 lat do 17, 2) — zaświadczenie lekarskie, 3) — wpłacenie pierwszej i drugiej raty w sumie 20 zł. — resztę w sumie 45 zł. za jeden miesiąc lub 110 zł. za dwa miesiące korespondent wpłaca w dniu przybycia do Mszany Dolnej (szczegółowe informacje podano w numerze z dn. 10 maja).

O dniu wyjazdu i ewentualnych ulgach kolejowych wszyscy korespondenci zostaną powiadomieni w numerze „M. P.” z dn. 14-go czerwca.

Kierownik Obozu

(—) D. Jarzabek.

Adr.: Warszawa, Ogrodowa 26A m. 1.

żadnych przygód. Nagle Heniek przypomniał sobie o istnieniu 50 gr., a że woda nic nie kosztowała, fundujemy sobie lody, a jest nas 10, więc każdy otrzyma lody za 5 gr. Lecz na nasze nieszczęście, a na szczęście Chaima, lodów w pobliżu nie było.

Skracając sobie drogę szliśmy wzdłuż obozu innej organizacji. Obstawili nas chłopcy, błagając o tyk wody. Kiedy odmówiliśmy, zaczęli nas gonić, chociaż mówiliśmy, że woda jest zatruta.

I tak bawąc się w gonionego, dotarliśmy do obozu, zzieleni i opaleni. Tu rozpoczęła się uczta spragnionych dzieci. Butelki przechożiły z rąk do rąk przy akompaniamencie wiwatów i ciężkich okrzyków.

Korzystając z zamieszania, Heniek złapał jedną butelkę i schował do plecaka, a na nasze oburzenie odpowiedział przyciszonym głosem:

— To na później.
Lecz później o tej butelce nie słyszałam.